

ODGŁOSY

90-103 Łódź
ul. Piotrkowska Nr 96

Nr 27 z dn.

- 6 -07-85

Po sukcesie widowiska muzycznego „Złe zachowanie” w wykonaniu tegorocznych dyplomantów PWST w Warszawie wystawiono gościnnie na scenie Teatru „Ateneum” w Warszawie. Ten sam teatr postanowił jakby zdyskontować powodzenie mini musicalu i zapropozował kolejną śpiewaną premierę — „Piosenki Breła”.

Przetłumaczył je WOJCIECH MLYNARSKI. Scenariusz napisał EMILIAN KAMIŃSKI. Oba podzielił się reżyserii całości. Opracowanie muzyczne należy do JANUSZA STOKŁOSY. Scenografia — MARCIN STAJEWSKI. Choreografia JANUSZA JÓZEFOWICZA (autora układów tanecznych w „Złym zachowaniu”). Przygotowanie wokalne — MONIKA RACZYŃSKA.

Śpiewają: AGNIESZKA FATYGA, GRAZYNA STRACHOTA, MICHAŁ BAJOR, EMILIAN KAMIŃSKI, MARIAN OPANIA.

Dlaczego właśnie Jacques Brel?

Wojciech Młynarski tak to uzasadnia w programie:

„Gdybym miał wymienić najwybitniejszych moim zdaniem śpiewających poetów w historii gatunku, to obok Berangera z epoki dawno minionej obok Okudźawy, Wysokiego, Brasensa, Cohena i Dyłana wymieniam Jacquesa Breła. Jego dzieło było wspaniałe, jego kreacje twórcze niepowtarzalne i kompletne. To jakby teza, którą postaram się udowodnić. Pisał wszędzie: w kawiarni na dworcu, na ławce w parku. Tuzinami wyrzucał z siebie teksty truskal ponysłami. I wciąż nie był rozumiany. Mieszkańska publiczność nie akceptowała jego mosenek, niejednokrotnie reagując awanturami. Brel

tał się w większości bardzo udane. Dobrze zestrojone głosy ciekawe rozwiązania ruchowe (niestabilne układy choreograficzne Janusza Józefowicza) i wielka dyscyplina aktorów.

Wszyscy ubrani na ciemno (czarne suknie, czarne koszule, czarne garnitury, czarne buty), tworzą swoisty, czarny teatrzyk piosenki, w którym śpiewała, grała, tańczyła niekiedy, znakomite tekstowo i muzycznie piosenki Jacquesa Breła w tłumaczeniu Wojciecha Młynarskiego. W części pierwszej słuchamy 10 piosenek, w drugiej 15, wszystkie mocne, wyrazowe, trafnie ustawione w takiej a nie innej kolejności, łączące się ze sobą tematem, problemem, klimatem...

BOHDAN GADOMSKI

Z Brelem i bez Brela...

Interpretują je trzy wyraźnie określone indywidualności: MARIAN OPANIA (najstarszy wiekiem i doświadczeniem, prosty i szczerzy, zawsze celnie trafiający w sedno śpiewanych tekstów), EMILIAN KAMIŃSKI (średni wiekiem i doświadczeniem, znany z rzemieślniczej afektacji, doprowadzanej czasami aż do clownady, tym razem wyciszony, poważny,

piosenki śpiewa jednakowo. W większości z nich chce zdemontować swój szkolony głos, co słuchacze odbierają na wesoło, myśląc, że aktorka robi parodię śpiewaczek operowych. W jednym z wywiadów Fatyga przyznała się do tego, iż zauważała, że robi parodię samej siebie. Po obejrzeniu aktorki — śpiewaczki — parodystki w „Brelu” ze smutkiem stwierdziłem, że maniera wokalna (i aktorska) pogłębiły się co powoduje, że Fatyga wyraznie nie przystaje do poetyckiego spektaklu. Miała w nim śpiewać tylko jedną piosenkę („Nie opuszczaj mnie”), ale wywalczyła ich kilka, jak się okazało — niepotrzebnie. Piosenki Breła interpretuje według klucza zastosowanego przy Brechcie i

matycznym), pewnie dlatego, że umie śpiewać i robi to dobrze, a nie tak łatwo w teatrze o młoda aktorkę z głosem, potrafiącą śpiewać. Strachota robi to prosto, sympatycznie, z wdziękiem, oszczędnie i skromnie. W pastiszowych fragmentach piosenki „Flamandowie” pokazuje mezzosopran, który albo z natury jest ustawiony lub zaczął być szkolony. Co prawda, w otoczeniu znakomitych, doświadczonych kolegów błędnie, ale jako debutantka wychodzi ze swego zadania obroną ręką.

MICHAŁ BAJOR śpiewa od niepamiętnych czasów (Zielona Góra, Kołobrzeg, Opole, Sopot) dziś ma opanowany warsztat wokально-aktorski do perfekcji. Jego głos, choć niezbyt ładny w barwie i niezbyt duży (w dniu premiery niedysponowany, z rana na strunie, czego nikt nie zauważył) fascynuje i przykuwa uwagę. Jeżeli dodamy bogate wnętrze aktora, inteligencję aktorską, pasję tego co robi, to wiadomo, że do czynienia mamy z prawdziwym talentem najwyższej próby. Bajor zbiera największe brawa, górując nad pozostałymi wykonawcami dosłownie wszystkim, co potrzebne do sukcesu w śpiewającym spektaklu. Być może sposób jego interpretacji Breła jest aż nazbyt popisowy, zbyt techniczny, ale przy koncepcji właśnie takiego potraktowania spektaklu, ma to swoje uzasadnienie.

EMILIAN KAMIŃSKI dysponuje wspaniałymi warunkami głosowymi, o czym można się było przekonać podczas jego brawurowych występów w warszawskim „Śpiewniku domowym” i w powtórzeniu fragmentów m.in. na scenie Teatru Wielkiego w Łodzi. I dobrze się stało, że aktor dał się namówić na większe i częstsze śpiewanie. Gdyby tak jeszcze znaleźli się twórcy piosenek,

niewielkim, to w jakiś pyszny sposób potrafił nim operować, jak wspaniale interpretuje swoje piosenki, używając najprostszych środków: jak umiejętnie podkreśla to co istotne lub najważniejsze w tekście. Wystarczy ruch głowy, zawieszenie głosu, jeden gest...

Najdojrzały aktorsko spośród całej piątki, najstarszy wiekiem (pamiętny „wieczny chłopiec polskiego kina”), ale też najprawdziwszy w tym co śpiewa i jak to robi. Opania jest chyba najbliższy temu co prezentował w swoich piosenkach Jacques Brel. I choć wokalnie pozostaje jakby w ciemności, za miotającą się po scenie sataniczną i perwersyjną (?) wymyśloną i sztuczną Fatyga, przy perfekcyjnym, lecz zimnym Michale Bajorze, niknie głosowo przy Emilianie Kamińskim, wygląda jak wujek lub ojciec Grażyny Strachoty, ale dzięki niemu przedstawienie na „Scenie 61” nabiera głębszego znaczenia i szerszego wymiaru. Gdy pojawiał się na scenie, nikt nie myślał o tym, jak zaśpiewa lub zagra kolejną piosenkę, lecz o czym aktor śpiewał co z tego śpiewania wynika, także dla słuchacza.

„Piosenki Breła”, w których jest wiele z Breła i trochę bez Breła, to ładny, wzruszający momentami, bardzo profesjonalnie zrobiony spektakl, który na pewno długo będzie się cieszył powodzeniem wśród widzów nie tylko Warszawy, bo przy szalenie oszczędnej scenografii można go pokazywać na wielu małych scenach i estradach kraju. Chyba, że ktoś wpadnie na pomysł, aby go zarejestrować w TV i pokazać ogólnopolskiej widowni, tylko, że wtedy straci sporo ze swego specyficznego klimatu, nastroju.

Bezpośredni kontakt aktora z widzami nie został jeszcze niczym zastąpiony i nic nie zapowiada zmiany. Publiczność odbiera przedstawienie w

Zanotowane na marginesach

Haszkiada

Od wielu lat należę do zwolenników Partii Umiarkowanego Postępu w Granicach Prawa. Już sama nazwa tej niezwykłej organizacji, obywatelskiej przyprawiać musi o drżenie serca każdego drobno-mieszczucha w starym stylu — to jest to! Postęp — owszem, ale umiarkowany i w zgodzie z prawem, bo to, Boże ucho, waj, naruszyć prawo to jakby z dobrej woli wskoczyć w szambo pod gospodą „U Kali-cha”...

Piszę to z niejakim żalem za dawnymi czasy, bowiem współczesny drobno-mieszczuch utuczył się przede wszystkim na nieposzanowaniu, wręcz gwałceniu prawa, a postęp jawi mu się wyłącznie jako możliwość zdobywania — coraz większej ilości rzeczy. Dajmy wszakże spokój drobno-mieszczuchstwu — gdy przyjdzie i na nich czas, to się zajmijmy „tematem”.

Cała ta partia, jej osobliwe dzieje i nieudany start do kariery parlamentarnej w cesarsko-królewskiej monarchii Najjaśniejszego Pana Franciszka Józefa I nie są jednak w połowie tak fascynujące jak życiowa odyseja jej animatora i przewodniczącego, hodowcy psów, pijaka, satyryka, dzien-nikarza, wydrwigrosza, łazęgi, czerwonego komisarza na Syberii, autora setek ulotnych humoresek i jednej tylko książki, która na pewno weszła do pierwszej piątki arcydzieł liter-

dlugo szturmował paryska publiczność aż do sukcesu w paryskiej „Olimpii”, przed wybrednym, snobistycznym widzem, który zorientował się, że ten nieładny, tyczkowaty Belg ma coś bardzo ważnego do powiedzenia.

Brel śpiewał swoje spostrzeżenia na temat życia, miłości, śmierci, przyjaźni, starości i w ogóle szeroko pojętej ludzkiej kondycji. Wybrał formę piosenki bardzo tradycyjnej, wywiezionej z muzyki ludowej i z podmiejskich zabaw i z salonnego slow-foxa, a wszystko to było trochę pretekstowe i mylące, że owa forma muzyczna nie była ani przez chwilę formą samą w sobie, lecz służyła przede wszystkim celowi nadziedzicznemu — pięknemu, mądrymu, poetyckiemu tekstowi.

Piosenki Brela wyrażały uczucia w stanie znacznego napięcia, obca mu była wszelka letniość. Z pasją atakował hipokryzję i głupotę, bronił w obronę ludzi starych i słabych, ośmieszał i zwalczał przemoc. Zrehabilitował banalną piosenkę miłosną, zmieniając jej język na bardzo nieraz brutalny, wyprowadził ją z mgieł i zeschłych liści w konkretne, życiowe sytuacje. Jego satyra nie oszczędzała nikogo i niczego, był odważny. Za piosenkę „Flamandowie” był na długo wyklęty we Flandrii i miał tam zakaz występów. Jego prawdziwą obsesją był wielokrotnie poruszany temat śmierci. Za wartość najpiękniejszą uważał przyjaźń poświęcił jej liczne strofy. Całe pokolenie startujące w latach 60-tych odnalazło w tych piosenkach siebie — swoje pasje, ambicje, miłość, nienawiść, obsesje, lęki wreszcie.

Minęło sporo lat, przez które terminowałem w achu „tekściarza” i tłumacza piosenek, zanim odważyłem się tłumaczyć Brela. W przedstawieniu na scenie „61” w „Ateneum” znalazły się te piosenki Brela, poza małymi wyjątkami, które najbardziej lubię. Odnawiają one we mnie utarę w możliwość piosenki jako gatunku. Brel już raz wyszedł zwycięsko z konfrontacji z „ye-ye”. W dobie rockowego ogłuszenia i odmóżdżenia pozwalamy sobie przypomnieć piosenki Brela.

Na maleńkiej scenie w czarnym okotowaniu przy ciemnym oświetleniu pojawia się i znikają żywe obrazy, na których widzimy całą paletę wykonawców „Piosenek Brela” także w czwórkach, trójkach, dwójkach i pojedynczo. Za nimi, ukryty za kulisa, zespół muzyczny Zespołu Interpretacji

współser, ciarosci, MICHAŁ BAJOR (najmłodszy z panów, najlepiej śpiewający, z każdej piosenki potrafiący zrobić majstersztyk) oraz dwie panie: AGNIESZKA FATYGA (znana z tego, że potrafi śpiewać każda technika wokalna, co w przypadku zbyt efektownego wykonania utworów Brela sprawia wrażenie nieporozumienia). GRAZYNA STRACHOTA (najmłodsza w tym towarzystwie, ale już bardzo sprawna technicznie, z wdziękiem scenicznym, choć jeszcze bez rysy wskazującej na załazek pewnej osobowości).

Cały spektakl „Piosenek Brela” obok wspaniałych, mądrych tekstów i przeważnie mocnej, drapieżnej, porwującej muzyki, tworzących małe arcydzieła sztuki nazywanej piosenką, zdobywają sobie na nowo kolejne pokolenie publiczności. Ale aby mogły ją zainteresować, muszą być odpowiednio wykonane. Spektakl opiera się na kunszcie wykonawców, na ich bardziej lub mniej interesujących propozycjach wokalnych-aktorskich i choć tworzą oni to widowisko jako zespół, to jednak pracują na swoje oowodzenie lub porażkę indywidualnie.

AGNIESZKA FATYGA, od kilku lat próbuje sił w piosence aktorskiej, wokalistyce operowej, aktorstwie teatralno-telewizyjnym. Okrzyknięta jeszcze przed tegorocznym Festiwałem Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu jako „najlepiej śpiewająca aktorka w kraju” po kilku sukcesach wokalnych („Śpiewnik domowy” w reż. Adama Hanuszkiewicza) i kilku porażkach aktorskich (ostatnia w łódzkiej „Legendzie”, w której wystąpiła w roli Wandy, potraktowanej przez nią jak dziewczę z łaski przydworze, a nie córka króla Kraka (znalazła się obecnie w krytycznym momencie swojej błyskotliwej kariery. Ma wyszkoleny na 6-letnich studiach wokalny w AM w Warszawie (klasa prof. Alicji Dankowskiej) głos, który przy zadaniu czysto operowym jest tylko jednym z przeciętnych sopraników lirycznych z przebiegskimi koloraturami i nie udźwignie całej partii operowej. Fatyga wie o tym, dlatego nie myśli o śpiewaniu w teatrze operowym. Nie nadaje się również do operetki. Ło jej głos nie ma potrzebnej tam lekkości, swobody kolorytu, a jego właścicielka nie ma również potrzebnego tam wdzięku. Może znalazłby zastosowanie w musicalu, tylko gdzie? W piosence estradowej są lepsze od Fatygi zawodowe piosenkarki, pozostałe więc piosenka aktorska, kabaret i śpiewane widowisko teatralne.

Ale Fatyga zdążyła już niestety nabrać pewnej manier, która powoduje, że wszystkie

ma siebie nazywać, aby mogła się poczuć dobrze i pewnie w jednym, wybranym gatunku, bo porwijając się na wszystko (obecnie myśli o karierze filmowej) zostanie pewnego dnia z przysłowiową „reka w nocniku”. Szkoda byłoby jeszcze jednego nietuzinkowego talentu, który zmarniał zanim się rozwinął. Występ Agnieszki Fatygi w „Piosenkach Brela” to poważne ostrzeżenie dla niej samej i dla tych, którzy są zainteresowani tym, co robi.

GRAZYNA STRACHOTA dyplom aktorski zrobiła w ub. roku w warszawskiej PWST. W „Ateneum” występuje gościnnie (jest na etacie w Teatrze Dra-

ry specjalnie dla Kamińskiego, z uwzględnieniem jego rzadko u aktorów spotykanych warunków głosowych, to z pewnością przybyłby nam kapitalnie śpiewający aktor, z ogromnymi predyspozycjami do śpiewania nie tylko piosenki aktorskiej, ale musicalu i dalej... Kamiński nie pokazuje w „Piosenkach Brela” wszystkich możliwości, świadomie ustępując kolegom, nie zapominając, że jest reżyserem spektaklu, bo Wojciech Młynarski wniósł w całość nieco inny wkład.

MARIAN OPANIA znakomity, uznany aktor, śpiewający rzadko. Choć dysponuje głosem

gromnym skupieniu, dając się prawie zahipnotyzować aktorem, którzy odnieśli tu duży sukces. „Złe zachowanie” było hymnem młodości i zespołowego tworzenia „Piosenki Brela” są popisem kilku indywidualności i wysokiego już stopnia wtajemniczenia w aktorskie śpiewanie. Łodzianie będą mogli obejrzyć „Piosenki Brela” u siebie, jako że goście z Warszawy zostali tu zaproszeni i zaproszenie przyjęli.

— słowem Jarosława Haszka.

Od wielu lat jestem pod nieustającym urokiem jego dzieła — „Przygód dobrego wojaka Szwajka”. Gdyby do końca życia pozwolono mi czytać tylko jedną książkę, wahałbym się między „Szwajkiem” właśnie, a „Colasem Breugnon” (trecz z filozofia i jej mądrościami!), wybierając zapewne księgę mistrza Haszka...

Co w tym Haszku i jego „Szwajku” jest takiego niezwykłego — nie wiem. Nie potrafiłbym uczenie tego opisać przy pomocy wyrafinowanego iłbowskiemu aparatu krytycznego — nie wiadomym językiem. Zgrozą przejmują mnie próby naukowego opisywania obu bohaterów, ze wstrętem myślę o pewnym docencie, który uparł się, że kongenialny przekład Hulki-Laskowskiego jest już przestarzały i na nowo, po współczesnemu tłumaczył dzieło Haszka, paskudnie je szpecąc. Cała ta szwejkologia — ulubione zajęcie red. Mazana z Krakowa i dobry temat na „Wielką Grę” — da się porównać tylko z zakaszaniem wielkopopowickiego piwa (może być „kozel”) tekturową podstawką pod kufel. Wiem tylko jedno — bez Haszka i bez Szwajka byłoby dużo smutniej i pewnie wszystko byłoby bardziej nadęte... I jeszcze jedno — bez nich byłaby chyba dla nas niedostępna — w intelektualnym sensie — cała współczesna czeska literatura, z Hrabalem włącznie.

Nie przepadam zatem za całą tą haszko- i szwejkologią. Ale niedawno wpadł mi w ręce tom zestawiony przez Radko Pytlika z anegdot, które pozostały mu jako odrzuty po napisaniu poważnej książki o Haszku. Nosi to dzelko tytuł „Nasz przyjaciel Haszek” i jest lekturą, do której bez minimum dwóch flaszek piwa zasiadać nie należy. Przekonałem się o tym już po zagłębieniu się w kilka pierwszych stron. Błąd naprawiwszy, przeczytałem w ciągu jednego wieczora...

Zgadza się z Pytlikiem, że nie sposób oddzielić życia Jarosława Haszka od jego twórczości — ten wielki artysta był sam w sobie literaturą, a literatura to on. Nie znam nikogo innego, komu przydarzyłaby się podobna historia: z własnego życia zrobić najsmutniejszą księgę, nawet jej nie dokończywszy... Nie wiem jak inni, ja z tego fenomenu czerpię po prostu radość.

TOMASZ SAS



Na zdjęciu: Agnieszka Fatyga, Michał Bajor, Grażyna Strachota, Marian Opania, Emilian Kamiński
Foto: Zygmunt Rytko